

MARIA GIŁKA

Moje refleksje nad przemijaniem. Była taka ulica – Był taki dom – Była taka rodzina

Była taka ulica...

Niby zwyczajna – a niezwykła, niby ta sama – a nie taka sama. Choć w nazwie nie zmieniona, w funkcji swojej zachowana, a w zabudowie rozpoznawalna – ale inna: mieszkańcami, nową scenerią i odgłosami toczącego się na niej innego życia. Próżno by pukać do domów, tak wielu już tamtych ludzi nie zastaniemy. Próżno by szukać najstarszych zabudowań – dawno zburzone. Próżno by nasłuchiwać hałasu metalowych obręczy kół furmanek, wozów drabiniastych, fiaków – nie nadjadą... Odjechały już w przeszłość.

Oto paradoks przemijania – wszystko powoli staje się przeszłością. Ulica, o której piszę, była jedną z głównych ulic miasteczka, zamieszkiwaną przez gospodarzy, rzemieślników, urzędników, kupców. Zarówno katolików, jak i mojżeszowego wyznania. Naliczyć by też można pośród mieszkańców paru nauczycieli, jak i przedstawicieli wolnych zawodów.

Zabudowa ulicy była raczej nieciekawa. W większości były to domy parterowe, dwuizbowe z sienią wjazdową. Obora ze stajnią-boiskiem i szopą pod jednym dachem stanowiły zabudowania gospodarcze. Poszczególne posesje rozdzielał *miedzuch*. Z czasem do tego jednolitego budownictwa zaczął się powoli wkradać nowy styl – kamienice piętrowe też z bramą wjazdową. Styl ten na długie lata stał się dominującym w architekturze miasta mimo swej banalności.

Wybudowano też parę oryginalniejszych domów oraz willi i budynków willopodobnych. Ulica, o której piszę, miała parę przecznic w prawo i lewo, a jej lewa strona zabudowy, licząc od rynku w kierunku Szaflar, kończyła się na numerze 63.

Gdyby opisywana ulica z pobudek czystego zarozumiałstwa chciała za imponować innym ulicom, mogłaby się przechwalać: ja mam cztery sklepiki i dwa większe sklepy, i zaraz by wyliczała: u Edera jeden, potem Rajski, Michał Kądziołka i Ryfka Weiss po jednym. Wszystkie z towarami spożywczymi, ale w ograniczonych ilościach, tak na dziś i na jutro. Mam też dwa większe sklepy nazywane kolonialnymi, to sklepy Pepki Klauzner i Czesława Rajskiego.

W sklepach tych i sklepikach towar był na ogół trzymany luzem, odważany na życzenie. Nabierany różnego rodzaju szufelkami i wsypywany do torebek. Najczęściej kupowaną ilością był funt i dla tego funta sklepane były specjalne torebki w kształcie trójkąta. Najczęściej kupowanym towarem była kawa, cykorja, sól, cukier. Cukierki luzem rezydowały w zakręcanych słojach, a ważone były

do zwiniętych w rożek papierowych torebek. Umiejętność zwijania rożków była powinnością subiekta. Po większe zakupy chodziło się do rynku, bo tam było najwięcej sklepów różnego asortymentu – bławatne, żelazne, galanteryjne, drogeryjne...

Ulica mogła też pochwalić się posiadaniem apteki, jednej z dwóch istniejących w mieście. Apteka miała bodajże nazwę „Pod koroną” i była własnością Dworzańskich. Wnętrze jej pobudzało wyobraźnię. W szufladkach i słojach w odcieniu seledynu tkwiły jakieś specyfiki podpisane ślicznie wykaligrafowanym pismem na jednakowiuteńkich etykietkach i z aptekarską dokładnością przyklepione do szufladek i słoików. Nazwy leków w łacińskiej wersji wprawiały w zakłopotanie kupujących i budziły podziw u zwykłych ludzi dla mądrości pana aptekarza, który ze znanstwem poruszał się wśród medykamentów.

Dla mnie w tym czasie zrozumiałe brzmiał tylko jeden lek – „kogutek od bólu głowy”. Z pogranicza horroru natomiast wydawały się pijawki w stojącym na aptekarskiej ladzie może pięciolitrowym słoju. Było ich zawsze dużo, koczowały w grupach albo pojedynczo przyklepione do ścianki słoja. Wydawały się takie bezosobowe – bez oczu, czarne, podstępne, żarłoczne. Kupowało się je na sztuki do własnego naczynia.

Miałam wątpliwą przyjemność z bliska przyglądać się takiemu pijawkowemu zabiegowi, któremu poddano mojego dużo młodszego brata. Zabieg w moich oczach wyglądał jak rytualny, a wykonywała go parająca się stawianiem baniek i pijawek oraz odczynianiem uroków kobieta, jakich wtedy nie brakowało. Do pracy przystąpiła energicznie i ze znanstwem. Wyciągnęła przyssaną do naczynia pijawkę i postawiła ją na posmarowane specyfikiem miejsce boleści. Przyglądający się zamarli w wyczekiwaniu. Przyssie się czy nie przyssie? Przyssała się i w oczach puchła opita krwią. Poinformowani wiedzieliśmy, że jak się nażre to sama odpadnie. Po chwili odpadła. Ale to nie był koniec – należało teraz tę krew z niej wydusić. Na bracie nie zrobiło to większego wrażenia, chociaż nie raz straszylam go stawianiem pijawek, to pozostawał obojętny wobec mojej prowokacji. Odebrana jednak nauka pogładowa zachowała się w jego pamięci, bo jako mały berbec, naśladowując wygniatanie pijawki, tą samą metodą wyciskał życie z gąsienic.

Opisywana ulica nie starała się być napuszoną, ale w poczuciu dobrze pojętej odpowiedzialności musi pochwalić się faktem, że już wtedy w małym miasteczku w kamienicy u burmistrza mieściło się biuro spółki akcyjnej Potoczek-Rajski, która była kapitalistyczną formą własności prywatnej i – co ciekawsze – miała się dobrze.

O, ulico lat 30-tych ubiegłego stulecia! Przywołałam cię do życia abyś dała świadectwo dobrych sąsiedzkich stosunków, spokojnego pracowitego życia, dobrych obyczajów i zgodnego współistnienia...

To również w twój krajobraz wpisany był żydowski świat. Trochę nierzezywisty, trochę egzotyczny już z perspektywy tylu lat, ale przecież prawdziwy. Prawdziwy obchodzonym przez wyznawców judaizmu świętem zwanym szabasem, wizerunkiem Żyda z wymodelowanymi przy uszach pejsami, prawdziwymi żydowskimi imionami i powiedzonkami. Szabas zaczynał się w piątek wieczorem, a kończył w sobotę po zachodzie słońca. W tym czasie sklepy i interesy żydowskie były zamknięte, a domy wyciszone świętowaniem, mo-

dlitwą i podniosłym szabasowym nastrojem. W ten dzień odbywały się modły w bożnicy, a wyznawców mojżeszowych obowiązywało uczestniczenie w nich w szatach sobotnich. Z tej okazji Żyd wdziewał na siebie chałat, przewiązywał się w pasie sznurem, na głowę zakładał jarmułkę, a na nogi białe pończochy do kolan. Żydówki odziane były bardziej zwyczajnie, tyle, że niektóre w peruce.

W niedzielę stawało się zaś inaczej. To katolicy świętowali. Szli do kościoła też w odświętnym niedzielnym ubraniu i też w podniosłym nastroju. Obiad niedzielny różnił się od obiadu w dzień powszedni, był bardziej wyszukany, składał się z większej ilości dań i był przygotowywany z większym nakładem sił.

Nie sposób, opisując cię, ulico, nie wspomnieć twoich sentymentalnych uroków, jak zadomowionych pod gankami domów jaskółek, które gromadkami obsiadały słupy telegraficzne i z przychylności do ludzi oznajmiały swoim niskim lotem zmianę pogody.

Jak pominąć milczeniem wróble – drobne szare ptaszki, bardzo ruchliwe, mało wymagające, wiecznie świergocące i wszędzie obecne ku radości człowieka... Jak nie wpisać w pejzaż ulicy drzemiących w słońcu kotów, czy różnej rasy Azorów strzegących domów.

Jak nie wspomnieć odgłosów dochodzących z kuźni u Pieczka – tak się to miejsce potocznie zwało – niosących z sobą głosy pracowicie uderzających młotów w rytmie łup-łup, łup-łup, które zmieszane ze skrzypieniem wozów i hałasem żelaznych obręczy kół zwożących siano czy snopy, tworzyły swoistą melodię ulicy, swoisty i niepowtarzalny klimat naszej okolicy.

Były też na opisywanej ulicy dwie restauracje i jeden wyszynk. Jedna, Lolka Grzybczyka – tuż przy rynku, druga u Rajskiego, w kamienicy. Wyszynk był na rogu ul. Ogrodowej, mówiło się o nim „U Rybocki”, od nazwiska stojącej za szynkwasem, fertycznej właścicielki, Rybakowej.

Nie wiele wiem o restauracjach i wyszynkach, ale myślę że różnica między restauracją a wyszynkiem polegała jedynie na tym, że w restauracji jadło się i piło, a w wyszynku piło i jadło. Oczywiście w obu przypadkach napoje wysokokowe.

Moja babka *niebożycka* – tak się zawsze wtedy mówiło o ludziach zmarłych – ilość wypitej gorzałki określała *śpokami*: dwa *śpoki*, trzy *śpoki*. Wypitą lemoniadę mierzyła *krachlami*. Moja Babka również, dając mi najprawdziwszą złotówkę, mówiła: „mos dziewce grajcara”. Było to dość dużo, bo od taty czy mamy, tak na odczepnego na takie tam *tujejki* czy *malinki*, dostawałam 10 albo 15 groszy.

O świecie lat 30-tych, taki byłeś mi bliski, bezpieczny, swojski, serdeczny. Choć pozostała ulica i niektóre domy – życia dawnego już nie ma. Odeszło, bo musiało odejść. Ale czy wśród zmienności otaczającego nas świata zostaje coś niezmiennie? Chyba tylko ciągłość pokoleń i odradzanie się natury. I w tym odradzaniu być może tkwi mistyczny sens nadziei.

Był taki dom...

Ktokolwiek projektował ten budynek, w zamyśle miał wybudowanie czegoś niezwykle prostego, żeby nie rzecz – prymitywnego. Powstał więc dom w kształcie prostokąta przylegającego jedną ścianą do sąsiedniego budynku,

pozostałe trzy ściany, jako narożne, pozostały wolno stojące. Dom przykryto dachem dwuspadzistym, ale jakoś wbrew sztuce budowlanej odwróconym szczytem do ulicy głównej. W szczycie tym właśnie zaprojektowano poddasze z oknami wychodzącymi na wschód, pomijając możliwość umieszczenia okien na trzy różne strony świata. Dom ten w czasie, który próbuję przywołać do życia, należał do trzech właścicieli.

Trzech właścicieli i trzy diametralnie różniące się od siebie sposoby na życie. Jeden z właścicieli był rolnikiem i zajmował połowę parteru. Drugą połowę zajmował sklep i magazyn dzierżawiony przez Żyda Klauznera. Piętro, a ściślej poddasze, stanowiło własność urzędnika sądu nowotarskiego. Wspólną własnością była sień, o bardzo zróżnicowanej intensywności użytkowania przez współwłaścicieli. Do sieni wchodziło się wprost z ulicy i natrafiało zaraz na jakieś gospodarcze wtajemniczenia, jak wielkich rozmiarów sasek, wsparty o niego duży tłuczek do ziemniaków oraz coś, co służyło do siekania buraków. Obok saseka korytko, czasem ceber i zawsze jedno albo dwa wiadra. Wszystkiemu temu towarzyszył swoisty zapach o zróżnicowanym stężeniu zależnym od pory dnia. Żydowi, jego żonie Pepce oraz ich pomagierowi Ickowi sień owa służyła do przechodzenia na zaplecze sklepu. Czasami też do składowania jakiś skrzynek, ale to działo się już w końcowej części sieni.

Urzędnikowi i jego rodzinie sień umożliwiała dojście do klatki schodowej. Życie w tym osobliwym domu odbywało się bez waśni, swarów i z podziwu godną wyrozumiałością dla poszczególnych, tak różnych, potrzeb użytkowników. Może działo się tak, dlatego, że ludzie wtedy nie wymyślili jeszcze kolegów orzekających. A może dlatego, że nie czuli się lepsi jedni od drugich, a to pozwalało na zgodne, wspólne użytkowanie obory i wychodka. Takiego zwyczajnego, zbitego z heblowanych desek, wypiętego tyłem do gnojowiska, a równającego w swej służebności stany i narody.

Urzędniczy standard posesji zaczynał się zaś od wycieraczki, leżącej tuż przed schodami, oraz od rozłożonego na podeście schodów czerwonego, kokosowego chodnika. W zasadzie ten czerwony kolor nie wpływał na walory estetyczne klatki schodowej, gdyż ona sama znajdowała się w stałym mroku nie mając żadnego źródła światła z zewnątrz, ani też doprowadzonej do budynku elektryczności.

Nie łatwo było w panujących ciemnościach dostać się do mieszkania, ale wtajemniczeni wiedzieli, że należy chwycić się poręczy i – trzymając się jej kurczowo – wspinać. Po osiągnięciu piętra należało jeszcze dwa razy skrócić w prawo i – nadal trzymając się poręczy – namacać drzwi. Czasami domownicy słyszeli idącego – po klęciu i potykaniu, wtedy mówili: „otwórzcie drzwi, ktoś do nas idzie”. Wchodziło się wprost do kuchni. A kuchnia była kwadratowa z jedną ścianą ściętą dachem.

W niej osadzono okno, które chcąc zachować podobną do innych okien wielkość, musiało być wmurowane jakieś 40 cm od podłogi. Mnie fakt ten zachwycał. Nareszcie okno odpowiednie do mojego wzrostu! Jeszcze do tego z takim szeroki parapetem, że mogłam na nim siedzieć i wiercić się do woli. Mogłam też widzieć kawałek obory i daszek drewnutni. Na daszku w okresie wiosny i lata umieszczano skrzynki z kwiatami i szczypiorkiem. Wystarczało tylko mieć trochę wyobraźni, aby skrzynkowa zieleń przeistaczała się w kwitnący ogródek.

Kiedy przynudzałam pytaniami, np. kiedy już pójdziemy do domu, dawano mi wagę, odważniki i domino w pudełku. Ważyłam więc to domino na sztuki i hurtem, z opakowaniem i bez, a kiedy to robiło się nudne ważyłam nawet muchy, które musiałam sobie jednak najpierw nałapać. Ale z tym nie było kłopotu, bo okno wychodziło na oborę i to gwarantowało stałą dostawę. Po lewej stronie kuchni stał zbiornik na wodę zrobiony przez blacharza na zamówienie. Wodę nosiło się z rogu ulicy, a do pracy tej wynajmowany był Jasiek, taki chłop trochę „ułemny na rozumie”, jak się wtedy określało. Reszta kuchni była typowa. Kredens, stół, krzesła, wisząca półka na przybory do mycia, umywalka z miednicą, haczyki, a na nich wiszące ręczniki. Oryginalny natomiast był piec kuchenny, a raczej sam tylko szparchet, bo piec stał już w pokoju. Palenisko było w szparchecie kuchennym, więc paląc w kuchni ogrzewało się dwa pomieszczenia. Taki typ pieca określało się mianem „piec kamyczkowy”.

Pokój za kuchnią umeblowany był meblami zrobionymi z blachy. Stały tam dwa łóżka, dwa nachtkastliki, szafa i owalny stolik z wyplatanyimi krzeselkami. Meble blaszane malowane były na ciemnozielony kolor z żółto-brązowymi obwódkami. Nad łóżkami wisiała tkanina z utrwaloną na niej sceną batalistyczną rzymskich legionów. Z pokoju jedne drzwi prowadziły na stryszek, drugie – do następnego pokoju. Okna były dwa. Na jednym stało mnóstwo doniczek z kwiatami, drugie przystosowane było do częstego otwierania. Nad oknami wisiały lambrekiny przypięte do karnisza żabkami.

Pozostał mi do opisanja jeszcze jeden tylko pokój, ale moje dotychczasowe relacje są takie muzealne... Muszę więc je ożywić przytaczając jakieś przykłady toczącego się w nim życia. Zacznę od sklepikarza, Żyda Klauznera, wiecznego malkontenta, który zatruwał życie umoralnianiem, szczególnie dybał na swojego pomocnika Icka, a wtedy pouczał go mniej więcej tak:

– Oj ! Gwałtu! Co to się też człowiek namitręży... Na ten przykład ty, Icek, po porządku już dawno powinienes być sklep zamiatać, a ty jeszcze skrzyneków nie ustawił. Patrz, mówię ci, bez harowy żaden uczciwy Żyd nie opływa we wszystkie dobroci, chyba żeby Pan Wszechświata pobłogosławił mu specjalnie pomyślnym rokiem i sprawił urodzaj w zbożach czy w innych roślinach albo zesłał potop, żeby ludzie towary ze sklepów z nagłością wykupywali, ale rozważywszy to – to, co by tobie, Icek, abo i mnie przyszło z tego – tyle pewnie, co psowi z tego, gdy wołowina potanieje. Ty sobie Icek wiedz, że kaźden Żyd winien nasamprzód myśleć, co ma zrobić, a nie na ten przykład, co ma zjeść, bo od przejedzenia łatwo dostać bólów wnętrzości i kolków. A to niechaj moich wrogów dotchnie, a mnie sprawiedliwemu Żydowi niechaj idzie ku dobremu...

Nie od rzeczy będzie wspomnieć też, że w opisywanym przez mnie czasie ludzie umilali sobie czas podczas pracy czy odpoczynku śpiewaniem. Warto, więc podsłuchać, co sobie nuci gotując obiad pomoc domowa Andzia, a słowa jej piosenki brzmiały jakoś tak:

*W zielonym gaju
tam przy ruczaju
dała mi mama pierwszego,
ale ten pierwszy*

*jest bardzo śmieszny
oj mamu nie chcę go.*

Piątego też nie chciała, bo był skąpy, szósty był tłusty i tak się chyba śpiewało, dokąd się obiad nie ugotował, dobierając rymy do każdej liczby. Jeszcze tylko wzmianka o niedzieli, słonecznej niedzieli albo i nie, kiedy to ludzie świętując słuchali muzyki z gramofonu. A słuchane piosenki były takie różne. Na przykład obiecujące: *Umówiłem się z nią na dziewiątą* albo *Przyjdź ukochany w najbliższą niedzielę*. Były też przebaczące, jak *Stachu wróć daruję ci winy* albo takie zwyczajne, a często śpiewane: *Zielony mosteczek ugina się czy Kamień na kamieniu*.

Opisywanie atmosfery tętniącego życiem domu w latach przedwojennych pragnę zakończyć prostą kantatą, w którą wkomponowane są wszystkie głosy solowe zwierząt domowych, jak miauczenie, muczenie, beczenie, rżenie oraz chóralskie pianie i gdakanie na tle sekcji rytmicznej w postaci piłowania i rąbania drzewa, klepania kosy, rżnięcia sieczki, trzepania chodników, szorowania podłóg...

Wracam teraz do opisu drugiego pokoju w mieszkaniu stryja mojej Mamy – Bartłomieja i jego żony Anny. Przypuszczam, że pokój ten stale ulegał przeobrażeniom wprost proporcjonalnym do dorosłości osiągananej przez dzieci stryja. W każdym razie zachowałam go w pamięci jako nadzwyczaj elegancki, ale wyzbyty życia. Znajdował się w nim kredens z zastawą porcelanową i różnego innymi paterami i kłozami, wazami, stół okrągły na toczonych nogach wyposażonych w kółka jak fortepian, do niego sześć krzeseł, etażerka, na niej skrupulatnie ustawione książki. Na najwyższej półce kulista lampa naftowa.

W kącie pokoju stał tapczan, a nad nim kilim, cały zajęty przez jednego lwa, ale jakiego lwa! – z rozwianą grzywą, gotowego do skoku i w dodatku z właściwościami hipnotyzującymi, bo ile razy siedząc na bujaku wpatrzyłam się w tego lwa już nic nie mogło mnie z tego miejsca ruszyć, dopóki ktoś po mnie nie przyszedł, przerywając ten przypadkowy seans. A ja przecież tego nie chciałam – to ten lew pastwił się nade mną wykorzystując moją ciekawość świata.

Dzisiaj, kiedy moje jutro jest nie rokującym niczego jutrem, często wracam do wspomnień. Wzrusza mnie fakt, że już tylko ja mogę odtworzyć niektóre miejsca i niektórych ludzi. To ja mogę jeszcze wypełnić życiem miejsca między stołem a piecem, między drzwiami a kredensem, między ranem a zmierzchem, animując osoby z ich przyzwyczajeniami, powiedzonkami gestami...

Dzisiaj z tego domu, po kapitalnej przebudowie, pozostały tylko niektóre ściany. Ale ciekawa jestem gdybym wypowiedziała odnoszące się do przemijania, symboliczne słowa: „gdyby te ściany mogły mówić...” – co bym usłyszała? czy krzyk rozpacz? czy aprobatę nowego?

Próżno czekać... odpowiedzi nie usłyszę, więc zacytuję jedynie na koniec wziętą ze sztambucha sentencję datowaną na luty 1933 roku, ku wiecznej pamięci:

*Wszystko przemija
tak chce przeznaczenie
lecz jedno tylko zostaje –
wspomnienie...*

Była taka rodzina...

Czas przeszedł dokonany, ale mimo to chcę jeszcze raz wyjść ciemną klatką schodową, trzymając się poręczy dotrzeć do drzwi i zapukać. A ponieważ będzie to rano zastanę Andzię rozpalającą ogień pod blachą. Stryj pochylony nad miednicą pełną wody będzie się mył z wielką starannością prychając przy tym ile wlezie. Potem zakręci sobie wąsa, oba wycieniowane końce do góry, a dla utrwalenia fasonu nałoży uszytą z białego płótna opaskę, zakładając podtrzymujące ją tasiemki za uszy. Jego żona w tym czasie będzie piła świeżo parzoną kawę w porcelanowej filiżance i czytała drukowaną w odcinkach jakąś powieść, ja zwyczajnie powiem dzień dobry, a stryjence Annie powiem chyba jeszcze – zapożyczając słowa od mojego taty – „całuję rączki”. Nie będę pytała o resztę domowników, bo przecież wiem, że dorosłe już dzieci wyjechały z domu. Pomyślę sobie tylko, że to wielkie szczęście dla rodziców mieć takie udane i urodziwe dzieci.

Najstarszy syn został lekarzem specjalistą chorób płucnych, obydwie córki wybrały zawód nauczycielki. Najmłodszy zaś syn, o którym jego ojciec mówił zawsze z dużym pobłażaniem, został sekretarzem gminy w Chocholowie. Skąd brała się ta pobłażliwość? Stąd, że przechodzenie z klasy najmłodszemu szło niezwykle opornie, bo on nade wszystko kochał swobodę i nic nie robienie. Dlatego na pytanie gdzie jest Edek zawsze się słyszało: pewnie u Kasowskiego, a stryj dopowiadał: „...w niebo patrzą i ptaszki rachują”. Wymieniony Kasowski był od dzieciństwa kolegą Edka i miał podobne wady, ale wybrał sobie prostą drogę życia zostając stolarzem, stąd miał więcej możliwości patrzeć w niebo czy wypuszczone gołębie wracają... Edzio, przymuszany w trosce o jego dobro przez rodziców do nauki, musiał od czasu do czasu wykuć jakąś partię słówek czy przyswoić sobie porcję wiedzy z zakresu trygonometrii. Tak czy siak zmagał się z tym problemem aż do samej matury. Przedstawione powyżej obrazki z życia tej rodziny tworzą jakiś ogólnie zarysowany szkic, wiemy już z poprzedniego opisu „Był taki dom” jak mieszkali, wiemy już ile osób wchodziło w skład tej rodziny, a teraz pragnę opisać jak wyglądało codzienne życie emerytowanego urzędnika i jego żony.

Żyli dostatnio, gdyż pozwalała na to emerytura oraz dochody płynące z posiadanego lasu, jak i dzierżawy zagonów. Stąd stać ich było na zatrudnienie dochodzącej gosposi oraz na urozmaicone życie towarzyskie, jak prośzone podwieczorki, kolacyjki czy przypadkowe herbatki. Do miłych i szczególnie celebrowanych dni czy świąt należały te, na które przyjeżdżały dzieci. Wtedy trwały nie kończące się rozmowy o tym, co było i co może być... Ciekawość ta wynikała z ich wzajemnej życzliwości i troski. Do zwyczajów tego domu należały również długie spacerzy – nazwałabym je krajobrazowe – z uwagi na to, że zaspakajały gusty bycia w bliskości z naturą. Stryj, jako ojciec rodziny, był człowiekiem powściągliwym, nie za bardzo wylewnym, ale z głębokimi zasadami – np. przez całe życie nie pozwolił wyciąć choinki obojętnie czy ze swojego lasu, czy nabyć ją od sprzedającego. Uważał, że to taka sama strata drzewka, które musiało rosnąć ładnych parę lat na okoliczność zostania choinką.

Żona stryja była gadułą z sercem na dłoni, wiecznie czymś zajęta i wiecznie zatroskana. Barwnym akcentem ich domowego życia była pomoc domowa

Andzia – pogodna, pod nosem coś zawsze nucąca, sprawna, profesjonalnie do obowiązków przygotowana. Andzia była panną, żeby nie rzec starą panną, która głosiła śmiało swoje poglądy. A na mój użytek wygłaszała wiadomość, że wszystkie stare panny po śmierci idą zaraz na wysokie niebo, inaczej na siódme niebo. Byłam zainteresowana łatwym osiągnięciem wysokiego nieba i nawet zwierzyłam się ze swoich zamiarów Tacie, ale lekko potraktował moje zamysły. Może dlatego, że do staropanieństwa brakowało mi jeszcze ze trzydzieści lat.

Trochę później przyszło mi zwątpić w prawdy Andzine, kiedy mnie przekonywała, że najwięcej imion żeńskich jest na J – bo to i Jancia, i Jadzia, Janielcia, Jantasia, Jagnieszka... Ale do końca pozostałam pod jej osobistym urokiem, podziwiając ją za pogodę ducha i za to, że potrafiła zmyślnie wykorzystać najprostsze środki poprawiające urodę, jak czernienie brwi spaloną zapalką i różowienie ust i wyblakłych lic papierkiem z opakowania po cykorii.

O czasie mojego szczęśliwego, leniwie płynącego dzieciństwa, bezpiecznego i spokojnego! Nie wiedzieliśmy, że ponad naszymi głowami toczy się dialog dwóch przyszłych zbrodniarzy wojennych, führera i generalisimusa Stalina w celu uknucia intrygi wojennej paktu diabła z szatanem. W konsekwencji czego ruszyła wielka nawałnica i ogarnęła cały mój dotychczasowy świat. Już nic nie pozostało takie samo, odmieniło się życie wszystkim i każdemu z osobna w skali rodziny, poszczególnych społeczeństw i całego narodu.

A w rodzinie, którą z takim sentymentem wspominam? Najpierw ubyłła Andzia, wywieziona na roboty do Niemiec. Gospodyni pozostawiona bez żadnej pomocy musiała sobie jakoś radzić, a przecież nie było jej łatwo. Wiecznie więc była zapracowana i zatroskana obawą o jutro i o losy dzieci, o których całymi tygodniami nie miała wiadomości. Kroїła coraz cieńsze plastry mydła i wydzielala coraz mniejsze porcje z zapasów poczynionych tuż przed wybuchem wojny. Odchodziła powoli w milczenie i zadumę, aby któregoś dnia późnej jesieni pożegnać się z tym światem. Wtedy przydał się ów drugi pokój z gustem urządzonej. Stabilny stół na toczonych nogach stał się katafalkiem, by w pełnej asyście świec i bukietów kwiatów jeszcze raz zaistnieć pełnią przedwojennej elegancji.

Rok a może dwa później ten sam pokój po raz ostatni przejął na siebie reprezentacyjną rolę, dając swoim wnętrzem oprawę do ceremonii wystawienia zwłok stryja Bartłomieja. Kiedy wyniesiono trumnę można było już na drzwiach napisać: To koniec. Życia dawnego już nie ma. Odeszło w przeszłość. A jednak żal...

A dzieci, zapytacie? Czy nigdy do tego domu nie wrócą? Nie wrócą, bo przecież dom umarł w środku. Choć będzie to nadal ich poddasze, to związani z nim zostaną tylko wspomnieniami i powinnościami, jaka wynika z posiadania.

Tak oto przemijają rodziny, domy, ulice...

A mnie nęka tylko jeszcze jedno pytanie, dość sentymentalne w wyrazie. Czy dzieci stryja, wychodząc w różnym przecieć czasie z domu rodzinnego, mogły myśleć, że czynią to po raz ostatni?

Najstarszy syn na pewno nie mógł tak przypuszczać, bo przecież był rok 1938, kiedy ze swoją piękną żoną i ich czteroletnią córką w czasie urlopu

odwiedził rodziców. Potem już nigdy więcej nie przejechał, nawet na pogrzeb żadnego z rodziców. Co przecież nie dziwiło w okupacyjnym terrorze.

Starsza córka była na pogrzebie matki, więc mogła może myśleć, że póki żyje ojciec to na pewno będzie wracać. Ale tak się nie stało: na pogrzeb ojca też nie przejechała. Później z tym domem miała tylko tyle wspólnego, co płacenie podatku od nieruchomości. Na dobór lokatorów wpływu nie miała – to już działo się prawem kaduka.

Najmłodszy syn, kiedy usłyszał od lekarza specjalisty, że jego choroba postępuje, a to w krótkim czasie uniemożliwi mu chodzenie, przyjechał na grób rodziców, obszedł stare rodzinne kąty zaludnione przez obcych, odwiedził i mnie. Wtedy bez dobierania słów powiedział, że jest tu już ostatni raz i że nie ma się co za nim oglądać na Wszystkich Świętych, bo już nie przyjedzie więcej na groby rodzinne. Jak powiedział tak się stało... Więc i w jego przypadku zaczął się wypełniać czas przeznaczenia – podstępny element przemijania.

Pozostała mi odpowiedź czy druga córka w rodzinie, zwana Maryną, mogła myśleć, że już do domu rodzinnego nigdy nie wróci? Ona tak mogła przypuszczać. Ojca bowiem odwiedziła kiedy był już bardzo chory i to nie jako córka, ale jako koleżanka córki, zmieniając kolor włosów i uczesanie. Nie chciała, żeby ojciec ją rozpoznał z uwagi na ewentualne represje ze strony gestapo. Była przecież poszukiwaną politycznie niebezpieczną działaczką podziemia.

Tu pozwolę sobie zacytować wzmiankę o niej z książki Włodzimierza Wnuka *Walka podziemna na szczytach*:

„Spośród mieszkańców Nowego Targu, zaangażowanych w akcję przerzutowej, na żywą pamięć zasłużyła Maria Pajerska („Marynka”), przed wojną nauczycielka gimnazjalna, która jako działaczka Wojskowego Przysposobienia Kobiet brała udział we wrześniu 1939 w obronie Warszawy, a po powrocie do Nowego Targu stała się czołową łączniczką Związku Walki Zbrojnej i jednocześnie organizatorką, a w końcu kierowniczką jednego z głównych szlaków kurierskich, mającego swoją bazę w Nowym Targu pod kryptonimem „Teresa» (wiódł on z Warszawy przez Kraków – Nowy Targ – Jabłonkę – Trstenę – Zwolen – Lucenec na Budapeszt). Odebrała sobie życie 12 sierpnia 1942 r. w Warszawie, w momencie, kiedy gestapo wdarło się do jej mieszkania. Jedną z nielicznych kobiet odznaczonych orderem *Virtuti Militari*”.

Po tej krótkiej wzmiance biograficznej moja ciotka Maryna stała się jakaś bardziej pomnikowa i jeszcze bardziej umarła. A przecież umierając była młodą, bardzo piękną, pełną życia kobietą. I taką chciałabym ją pamiętać. Wiem na pewno, że lubiła swoją pracę nauczycielki, wiem też, że kilka razy zdarzało się jej zostać królową balu z uwagi na urodę i reprezentowane przez nią umiejętności taneczne.

Pamiętam również, że ubóstwiała jazdę na nartach i podróże. Właśnie w czasie jednej takiej podróży w 1938 r. do Szwajcarii poznała, o ironio losu, niemieckiego magnata, który się nią zachwycił. Pamiętam też zaskoczenie rodziny, kiedy w lipcu 1939 r. ów niemiecki arystokrata kurierską przesyłką przesłał Marynie kwiaty wraz urodzinowymi życzeniami. Wtedy Maryna była już szczęśliwą narzeczoną Jana Winklera, inżyniera – konstruktora samolotów, który zginął śmiercią lotnika gdzieś nad Niemcami. Lato 1939 roku było dla niej ostatnim radosnym i pełnym obietnic latem.



Dom współwłaściciela Bartłomieja Pajerskiego przy ulicy Szafarskiej w Nowym Targu

Następne były już inne, uwikłane między poczuciem obowiązku wyrażającym się przynależnością do walczącego podziemia, a egzystencją ciągle zagrożoną aż do utraty życia włącznie. I to dopadło ją wczesnym rankiem 12 sierpnia 1942 roku, kiedy to podający się za pracowników gazowni gestapowcy wtargnęli do jej mieszkania. Wiedziała, że to jej ostateczny koniec, bo żywcem nie chciała dać się zabrać, aby torturami nie wymusili na niej zdrady kolegów i organizacji.

O czym myślała w tych ostatnich sekundach, jakie jej pozostały nim przegryzła truciznę? Może o najbliższych, że ich już nigdy nie zobaczy, a może, że żal jest umierać? Bo jakże okrutne jest takie nagle, wymuszone umieranie w imię patriotycznych uniesień nagradzanych najwyższej werblami i pustymi słowami „poległa ku chwale ojczyzny”.

To moje rozumowanie zawieszę chyba w przestrzeni między „było” a „jest”, niech zawisnie w przerażającej pustce, skłaniając do myślenia.

PS. Oto jeszcze jeden paradoks przemijania. Po 60 latach ktoś z działaczy podziemia zostawia list na grobie „Marynki”, adresowany do rodziny z prośbą o kontakt w sprawie popadającego w ruinę nagrobka. A na policzenie potomnych wystarczą już tylko dwa palce. Ale oni chcą swoją drogę krzyżową ku wolności i niezawisłości narodu polskiego przekazać wiekom, zachowując mogiły i upamiętniając miejsca walk.

Wzniosłe cele, ale czy nie utopijne w tak radykalnym i wyrachowanym świecie, w jakim żyjemy dzisiaj?

Miło by było, nie powiem, ale pewno za sentymentalnie jak na rzeczywistość obecną, wiedzieć, że uczniowie Liceum im. Seweryna Goszczyńskiego, jako pokoleniowe zadośćuczynienie oraz w zgodzie z głoszonym na tablicy

pamiątkowej uczniów i profesorów tej szkoły poległych w czasie drugiej wojny światowej przesłaniem „potomnym przekazać”, przy okazji wycieczek do Warszawy kierowali swe kroki na Bródno. By tam na grobie śp. Marynki – chyba jedynej uczennicy tej szkoły odznaczonej pośmiertnie Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Honorową Odznaką Żołnierza Komendy Głównej AK Oddziału V Łączności Zagranicznej, nowotarżanki z dziada pradziada – składali wiązankę kwiatów i zapalali znicz, póki jeszcze ostał się ten relikwiarz bohaterstwa...

Oj, kończę. Chyba za dużo patosu...